Fragment książki
materiał promocyjny

GEORGES CHARPAK
DOMINIQUE SAUDINOS

NAPIĘTA NIĆ ŻYCIA

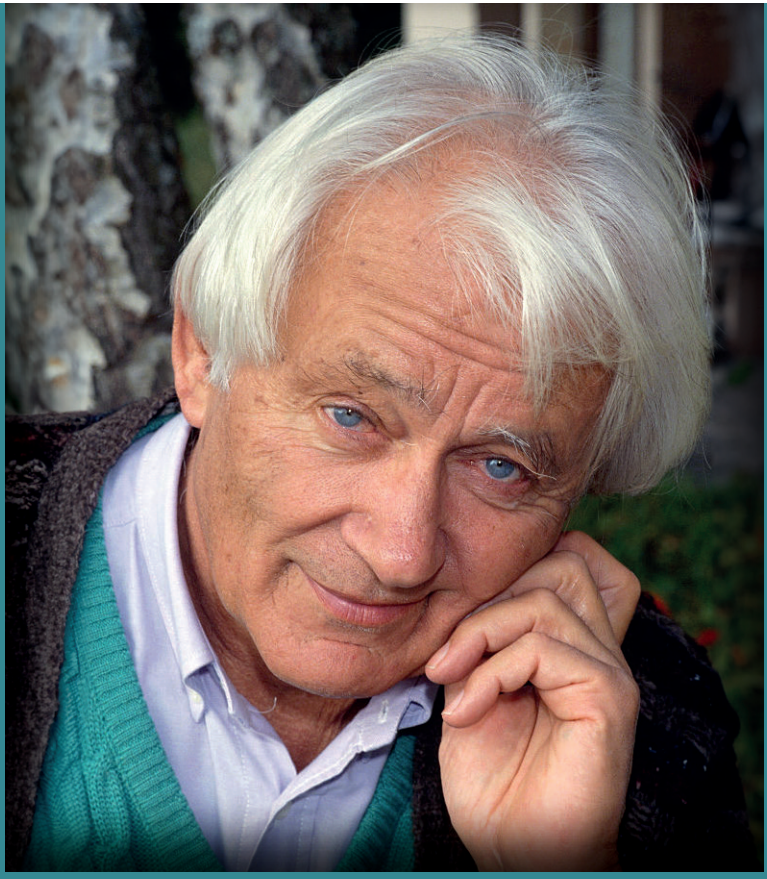

Georges Charpak (1924–2010)

Opowieść o Laureacie Nagrody Nobla 1992 w dziedzinie fizyki

e.edu-Libri

print pdf epub mobi

NAPIĘTA NIĆ ŻYCIA

GEORGES CHARPAK
DOMINIQUE SAUDINOS

NAPIĘTA NIĆ ŻYCIA

Z języka francuskiego przełożyła
Dorota Ostrowska-Furmanek

e.edu-Libri

Kraków–Legionowo 2024

Podstawa przekładu
Georges Charpak, Dominique Saudinos *La vie à fil tendu*
Éditions Odile Jacob, 1993

Konsultacja naukowa oraz wstęp do wydania polskiego
prof. dr hab. Wojciech Dominik
Uniwersytet Warszawski

Redakcja i korekta: Danuta Kamińska-Hass

Projekt okładki i stron tytułowych: GRAFOS
Ilustracja na okładce: BRUCELLE Armel/Sygma via Getty Images

© Copyright by Éditions Odile Jacob, 1993
All rights reserved

© Copyright for the Polish edition by edu-Libri s.c., 2024

Wydawnictwo edu-Libri
ul. Zalesie 15, 30–384 Kraków
e-mail: edu-libri@edu-libri.pl

Skład i łamanie: GRAFOS
Druk i oprawa: OSDW Azymut Sp. z o.o.
Łódź ul. Senatorska 31

ISBN druk 978-83-66395-65-7
ISBN pdf 978-83-66395-66-4
ISBN epub 978-83-66395-67-1
ISBN mobi 978-83-66395-68-8

Moim rodzicom.

Tym, których miłość i przyjaźń mi towarzyszyły.

Dzieciom, które marzą o porywającym zawodzie,
aby wiedziały, że większość przeszkód można pokonać.

Georges Charpak

Annie Frank i André Schwarz-Bartowi,
którzy w *Pamiętniku* i w *Ostatnim ze sprawiedliwych*
otworzyli mnie na świat w wieku trzynastu lat.

Georges'owi, który sprawił, że świat pisarza
stał się dla mnie realny.

Dominique Saudinos

Spis treści

Wprowadzenie do wydania polskiego **9**

Wstęp **17**

Część pierwsza. Grisza alias Georges **21**

Część druga. Charpak, francuski fizyk **133**

Podziękowania **225**

Indeks nazwisk **227**

Wstęp

Starożytni Chińczycy dzielili osobowość człowieka na dwa odrębne byty: „ja prywatne" i „ja publiczne", które powinny możliwie jak najbardziej harmonijnie współistnieć. Kiedy w październiku 1992 roku dowiedziałam się, że Georges Charpak otrzymał Nagrodę Nobla w dziedzinie fizyki, od razu pomyślałam, że jego „publiczne ja" zwycięży, a jego „prywatne ja", które znałam od tylu lat, straszliwie ucierpi.

Skromny, powściągliwy, skryty do granic możliwości, Georges nie chciałby być przepytywany i zmuszany do odsłaniania swojej osobowości. Już go widziałam, jak zręcznie wykręca się od odpowiedzi, przypominając jedną z tysiąca żydowskich anegdot, które uwielbia przywoływać bez końca, jakby chciał uniknąć pytań. Może zechce porozmawiać o fizyce, biologii, detektorach. Ale na pewno nie o sobie. Przede wszystkim na pewno nie chciałby ujawniać wspomnień tak intymnych, tak bolesnych, że tylko humor, drwina i pozorna lekkość pozwalają mu czasami do nich nawiązać.

Od ponad dwudziestu lat łączy nas bliska przyjaźń i ogromna sympatia. Będąc przez długi czas żoną fizyka, byłam – między

rokiem 1965 a początkiem lat osiemdziesiątych – cichym obserwatorem rozwoju detektorów cząstek. Oczywiście nie zajmowałam się nimi zawodowo – moją specjalnością jest psychologia i świat dzieciństwa, zwłaszcza w jego możliwym tragicznym wymiarze – ale życie zadbało o to, by oswoić mnie z innym, dziwnym światem, który opinia publiczna uważa za świat uczonych!

Przy okazji moich poprzednich książek o wielkich ludziach mijającego stulecia i naukach, jakie wyciągnęli ze swojego życia, często wypytywałam o te kwestie Georges'a, w szczególności o pochodzenie jego rodziny, o żydowskość, o emigrację do Francji w latach trzydziestych, o ruch oporu, o deportację, jednym słowem – o jego najgłębiej ukryte wspomnienia. Wiedziałam, że mam dostęp do wyjątkowego skarbu, którym on bardzo oszczędnie dzielił się z dziennikarzami.

Georges nigdy nie unikał moich pytań. Odpowiadał mi jednak skąpo, krótkimi anegdotami tworzącymi prawdziwą układankę pełną powściągliwości, ale i emocji, która pozwoliła zrekonstruować jego życie, w tym jego najbardziej bolesne aspekty.

W październiku 1992 roku zaproponowałam mu, aby odpowiedział „dwoma głosami" na pytania Francuzów dotyczące jego osoby. Głos wewnętrzny, głos „prywatnego ja", ten, który mówi cicho i który musi być odczytywany między wierszami, bez względu na pozorną beztroskę, opowiedziałby o długiej i pełnej udręki drodze dzieciństwa, o dorastaniu i młodości. Głos „ja publicznego", opowiedziałby o karierze naukowej, podróżach i spotkaniach wieku dojrzałego.

Zaproponowałam, że odnajdę małego Griszę, który nie urodził się w wieku ośmiu lat w czternastej dzielnicy Paryża, jak Georges lubił opowiadać, a nawet zdawał się w to wierzyć, lecz przeciwnie, urodził się bardzo daleko i wiele podróżował po Europie aż do 1945 roku, zanim stał się mężczyzną, i napiszę o nim. Georges

opowie później historię człowieka zaangażowanego, naukowca i dojrzałego mężczyzny.

Zawahał się przed takim obnażeniem się, ale po chwili namysłu zgodził się. Niewątpliwie, pomimo niechęci do dzielenia się swoim życiem i doświadczeniami, czuł się w obowiązku opowiedzieć młodym ludziom o swojej drodze i początkach swego powołania naukowego. Był to również obowiązek wobec jego bliskich i wszystkich chcących poznać tego Francuza, któremu sztokholmskie jury właśnie przyznało Nagrodę Nobla w dziedzinie fizyki. Zgodził się pod warunkiem, że uda się znaleźć przyjemny, a nawet żartobliwy ton, który, jak sądził, pozwoli przekazać najpoważniejsze sprawy. Do tego dążyliśmy.

Ta książka na dwa głosy jest więc owocem naszej współpracy. Nie jest to ani szczegółowa biografia, ani kompletny pamiętnik. Jedynym jej celem jest próba odkrycia drogi życia i osobowości oraz odszukanie rozmaitych „napiętych nici":

- między sztetlem[1] na Ukrainie a Francją,
- między skromnym światem polskich żydowskich emigrantów a światem najbardziej wyrafinowanej nauki,
- całego życia z zawsze jasnym celem,
- czasem aż do zerwania – między tysiącem pomysłów, tysiącem działań i tysiącem potrzeb,
- w wielodrutowej komorze proporcjonalnej.

I to aż do Sztokholmu.

Chciałabym podziękować Georges'owi za zaufanie, jakim mnie obdarzył, przyjmując ten projekt. Mam nadzieję, że w ten sposób – przynajmniej w jakimś stopniu – przyczyniłam się do przywrócenia pamięci o Griszy…

Dominique Saudinos

[1] Prowincjonalne miasteczko żydowskie na terenach dawnej Rzeczypospolitej [przyp. tłum.].

część pierwsza

Grisza alias Georges

I

To prawda – rzadko o tym sobie przypominam – kiedyś byłem Griszą. Przez osiem czy dziewięć lat wszyscy zwracali się do mnie tym imieniem albo zdrobnieniem Herszel i wciąż wyraźnie słyszę głos matki, która tak na mnie woła. Po moim nazwisku następowało zdanie w jidysz lub, rzadziej, po rosyjsku… Jednak kiedy przyjechałem do Paryża, odpowiadałem tylko po francusku! Stopniowo zaczęto nazywać mnie Georges'em, tak jak zalecał urzędnik stanu cywilnego, tak jak robił to nauczyciel i moi koledzy z klasy.

Grisza stał się kimś innym, pozostał daleko, tam, w Polsce, w bagnistym dorzeczu Prypeci niedaleko Czarnobyla, gdzie się urodziłem w 1924 roku.

Ten region Ukrainy od niedawna należał do Polski, zajęła go po wojnie 1920 roku. Miotani historią i wojnami, jak wszystkie ludy pogranicza, staliśmy się Polakami. Ale przede wszystkim byliśmy Żydami i mówiliśmy w jidysz, jak wszyscy mieszkańcy Sarn, sztetla, w którym się urodziłem… choć moje narodziny zostały zarejestrowane w Dąbrowicy.

Sarny to było małe miasteczko, gdzie warunki życia Żydów, którzy stanowili trzy czwarte ogółu mieszkańców, były trudne. Usytuowane sześćdziesiąt kilometrów od granicy, było ważnym węzłem kolejowym na trasie łączącej Warszawę z Kijowem. Stacjonował w nim garnizon ośmiu tysięcy polskich żołnierzy. Urodzić się Żydem oznaczało nosić na sobie piętno… Moi rodzice czekali więc na okazję, aby zarejestrować moje narodziny w najbliższej wiosce, która była dużo mniejsza i mniej żydowska. Pewnie mieli nadzieję, że dzięki temu będę mniej „naznaczony" żydowskością…

Hannah Szapiro, moja matka, miała zaledwie osiemnaście lat, ale była inteligentna i zdeterminowana. Mój ojciec, Motele Charpak, był – w przeciwieństwie do żony – z przekonania syjonistą. Oboje pochodzili z rodzin żydowskich, które od wieków mieszkały w okolicy i oboje byli niezamożni. Rodzice mojego ojca prowadzili sklep tekstylny przy głównej ulicy Sarn. Specjalizowali się w tkaninach przeznaczonych dla gojów, czyli nie-Żydów. Na przykład sprzedawali tkaniny w kwiaty, których Żydówka nigdy by nie wybrała. A co dopiero nosiła! Byli szanowanymi przez wszystkich sklepikarzami, a moja mama znała ten sklep od dziecka i przechodziła obok niego codziennie. Bez wątpienia był on prototypem małego dziecięcego zakładu dziewiarskiego, który moim rodzicom udało się założyć przy rue du Caire w Paryżu długo po wojnie, pod koniec lat czterdziestych. Ulica w Sarnach, przy której znajdował się ten sklep, była nazywana przez mieszkańców sztetla ulicą Wesołą, tak bardzo mój wujek Charpak ich rozśmieszał, opowiadając z werwą żydowskie dowcipy! Zdaje się, że to po nim odziedziczyłem zamiłowanie do starych żartów…

W czasach Polski mój ojciec był księgowym w przedsiębiorstwie leśnym. W brązowej bluzie – przepasanej w pasie jak bluzy rosyjskich chłopów – uchodził za czarującego. Jedna z jego kuzynek, nadal mieszkająca w Paryżu, opisuje go jako wyjątkowo

przystojnego, z wielkimi niebieskimi oczami podobnymi do oczu jego ojca. Oczami, które z bratem odziedziczyliśmy po nim… Reszta rodziny miała ciemne oczy. Czy należy przypuszczać, że burzliwa i pełna przemocy historia tych ziem wymieszała krew jej mieszkańców? To możliwe. Dzięki tajemniczym prawom dziedziczności jestem – w przeciwieństwie do mojego ojca – wysokiej postury. A moje rysy, podobnie jak jego, są dość dalekie od karykaturalnych wizerunków rozpowszechnianych przez antysemitów.

Mimo biedy w rodzinie, około 1916 roku ojciec przez dwa lata uczył się w rosyjskim gimnazjum w Odessie. Natomiast moja mama przez jakiś czas chodziła do szkoły średniej w Olewsku. Obydwoje bardzo dobrze mówili, czytali i pisali po rosyjsku oraz mieli ogromne zamiłowanie do czytania. Było to powszechne w tych żydowskich rodzinach w Europie Środkowej, gdzie czytanie Tory, po hebrajsku dla mężczyzn, w jidysz dla kobiet, było codzienną powinnością… przez dziewięć lub dziesięć stuleci. Ten religijny obowiązek czytania i pisania, bez względu na otaczającą biedę i obciążenia dnia codziennego, są prawdopodobnie praprzyczyną tego zamiłowania do nauki, które jest czasami zauważalne u Żydów. Dziesięć wieków czytania i refleksji to ogromna liczba pokoleń. Trzeba było jednak zacząć czytać nie tylko Biblię, ale zainteresować się również czymś innym. Doszło do tego na przełomie wieków XIX i XX. Strasząc naszych przodków pogromami i zmuszając ich do ucieczki, sprawiono, że ruszyli z miejsca, zaczęli się odmieniać… Ruch, poszukiwanie czegoś innego może dawać bardzo korzystne efekty. Podobnie emigracja.

Mój ojciec był przywiązany do swojej religii, ale matka zerwała z tradycją i – jak jej bracia – była znacznie bardziej zainteresowana ideami politycznymi. Wyznawała ideologię rewolucji bolszewickiej od dziecka. Jej przywiązanie do komunistycznego

światopoglądu było bardzo silne i wywarło również na mnie ogromny wpływ – podążałem jej ścieżką z dużo większym przekonaniem niż mój ojciec. W tej kwestii był powściągliwy. Mówił jednak niewiele, nie był zbyt otwarty i chętnie podporządkowywał się żonie. Sam, podobnie jak wielu mieszkańców sztetli, których pragnienie dotarcia do Palestyny rosło z każdym pogromem, był przede wszystkim syjonistą.

W połowie lat dwudziestych w Sarnach dużo opowiadano o tych, którzy wyjechali, a ich historie nadawały treść poglądom, o których można było przeczytać w prasie będącej jedynym źródłem informacji dla Żydów w regionie. Tych, którzy chcieli uciec od Biblii i rygorystycznych obrzędów, przyciągano głównie ideami Bundu (ruchu socjalistycznego wrogiego komunistom). I syjonizmu.

Z pewnością właśnie to skłoniło moich rodziców do wyjazdu w 1926 roku w prawdziwie epicką podróż będącej wówczas pod mandatem brytyjskim Palestyny, aby zapewnić lepsze życie swojemu dwuletniemu pierworodnemu. Temu małemu Griszy, w którym moja matka pokładała wszystkie swoje nadzieje… i darzyła ogromną miłością. Trzeba było jednak prawdziwej odwagi i dużej determinacji, aby wyjechać z dzieckiem i kilkoma tobołkami do Eretz Israel[2]. Moja matka miała dwadzieścia lat, ojciec dwadzieścia pięć i nie bali się pracy. Ale zamiłowanie do przygód wynikało, jak sądzę, bardziej z temperamentu mojej matki…

W Palestynie było im trudno. Osiedlili się w Hajfie i moja matka jeszcze pod koniec życia opowiadała o codziennych zmaganiach związanych ze wspinaniem się pieszo w palącym słońcu na wzgórze, ponieważ nie miała pieniędzy na autobus. Pracowali przy kruszeniu kamieni do budowy drogi – zadanie, które, co ciekawe, SS zleciło mi jakieś dwadzieścia lat później w Dachau. To były dwa bardzo trudne lata, które zakończyły się niepowo-

[2] Ziemia Izraela [przyp. tłum.].

dzeniem i powrotem do Polski. Mama spodziewała się kolejnego dziecka i martwiła się chorobą, która zaatakowała moje oczy, podobnie jak oczy większości małych arabskich przyjaciół, z którymi się bawiłem. Upał, brud, brak higieny, muchy składające jaja w oczach dzieci, co groziło ślepotą. Moi rodzice postanowili wrócić do zimnego klimatu, żebym mógł wyzdrowieć. Być może w głowie tej przedsiębiorczej młodej matki kiełkował już pomysł, aby spróbować później we Francji!

Wróciliśmy więc do Sarn i po jidysz, rosyjskim i arabskim, w którym porozumiewałem się z dziećmi na naszej ulicy, musiałem, w wieku około pięciu lat, nauczyć się polskiego, żeby pójść do szkoły…

Wszystko to bez wątpienia było bardzo pouczające i bardzo wzbogacające. Zupełnie nie pamiętam, żebym mówił po arabsku, ale nie ma wątpliwości, że między drugim a czwartym rokiem życia musiałem nauczyć się tego języka, aby móc bawić się w tym zupełnie obcym mieście. Cóż za ćwiczenie i co za popis zdolności adaptacyjnych dziecka, które jest kochane i czuje się chronione przez swoich rodziców! Ta stabilność emocjonalna wydaje mi się być kluczem do życiowej równowagi: dzieci dostosowują się do wszystkiego, pod warunkiem, że nie są rozdzielone z rodzicami…

Z palestyńskiej ulicy przeniosłem się do polskiej szkoły. Tylko jedna dziesiąta żydowskich dzieci chodziła do szkoły powszechnej i prawdopodobnie, rodzice podjęli tę decyzję, gdyż nie chcieli zamykać mnie w getcie. Jestem im za to wdzięczny… ale wciąż zachowałem żywe wspomnienie obowiązku, jaki miało każde polskie dziecko – za każdym razem, gdy wchodziło do szkoły i przechodziło przed figurą Matki Boskiej lub krucyfiksem, musiało zrobić znak krzyża.

To jedno z moich najwcześniejszych wspomnień, które wiąże się z poczuciem wykluczenia. Polski katolicyzm był wtedy jeszcze

bardziej nietolerancyjny niż obecnie… Do końca życia czułem głęboką odrazę do tych religijnych praktyk, skądkolwiek by nie pochodziły, i później szkoła francuska, świecka i republikańska, była dla mnie prawdziwym ukojeniem. Odkąd w wieku ośmiu lat przybyłem do Paryża, wiedziałem, że nie potrzebuję ani obrzędów w synagodze czy celebrowania świąt żydowskich, ani modlitw Arabów w Palestynie, ani czynienia znaku krzyża i klękania katolików. Nie uległbym żadnemu kultowi, żadnemu uzależnieniu, żadnej wierze w mityczne życie pozagrobowe, do którego trzeba się przygotowywać za pomocą egzorcyzmów. Bardzo szybko zdałem sobie sprawę, że muszę poświęcić się życiu „tu i teraz" i, wykorzystując wszelkie dostępne sposoby – zarówno te naukowe, jak i aktywność społeczną – je ulepszać.

Po powrocie do Polski w 1928 roku, moi rodzice odnaleźli rodzinę, wróciły także trudności materialne życia codziennego. Wzbogacało je jednak ich zamiłowanie do kultury. Moja matka namiętnie czytała – po rosyjsku – dzieła klasycznych autorów, takich jak Tołstoj czy Puszkin… Nasze ubóstwo było względne. Przyjemności związane z literaturą oraz miłość do muzyki i tańców ludowych rozjaśniały nasze życie i stopniowo kształtowały mój gust.

Moja matka była piękną kobietą, taką pozostała przez całe życie i zawsze byłem bardzo z niej dumny. Była dość wysoka, szczupła i ciemnowłosa. Jej ciemne oczy i długie włosy pozostają wyraźnie w mojej pamięci. Byłem do niej bardzo przywiązany i myślę, że ona odwzajemniała to uczucie, wzmacniając je wiarą w moje zdolności, co z pewnością odegrało ważną rolę w moim życiu ucznia, studenta, a potem mężczyzny. Dało mi to poczucie misji do wypełnienia, obowiązków do realizacji – uczenia się, odkrywania, wymyślania – ale także uspokajające i zarazem pobudzające przekonanie, że jestem do tego zdolny.

André, mój brat, który miał wtedy na imię Szaweł (Saul), urodził się w Sarnach po naszym powrocie z Palestyny. Nie sądzę, by

pamiętał nasze życie w Polsce, był zbyt młody. Jeśli chodzi o mnie, to poza pobytem w Palestynie mieszkałem tam do ósmego roku życia i zapamiętałem wiele wyraźnych obrazów, kołysanych, jak mi się wydaje, przez żydowską, cygańską i ukraińską muzykę ludową, która sprawiała, że są pełne emocji, a nawet nostalgii.

Żydzi i Ukraińcy tworzyli wspólnoty, które się nie mieszały. Żydzi, zwłaszcza młodzież, spotykali się na „kółkach", gdzie śpiewano i tańczono, i byli pod silnym wpływem tradycji ukraińskich, w których radość uzewnętrzniała się głównie w wielobarwnych tańcach i strojach kobiet – ich czerwonych butach i długich wstążkach nakryć głowy. Pamiętam, że najbardziej melancholijna była muzyka grana na skrzypcach przez Cyganów i pieśni w jidysz nucone przez kobiety – może nawet przez moją matkę czy babcię. Były też młode dziewczyny, które przychodziły, żeby się mną opiekować, kiedy mama musiała wyjechać. Byliśmy biedni, a kobiety pomagały sobie nawzajem. Widzę je wyraźnie, jak na czworakach szorują podłogę wodą z mydłem, śmieją się lub śpiewają. Nawet pamiętam wyraźnie polskie słowa tej starej piosenki pod tytułem „Je cherche après Titine", która była bardzo popularna we Francji. Słyszę, jak dziewczyny śpiewają:

Nie chcę opiekować się dziećmi
Chcę tańczyć Ch'imi
Bo pokojówki opiekują się dziećmi
A damy tańczą Ch'imi

Wzrusza mnie to niezwykle udane przywołanie zapomnianego świata. Po polsku tekst był taki poetycki i uroczy. Dlaczego francuskie słowa są od niego tak odległe? Zastanawiam się nad tym, gdy po sześćdziesięciu latach te resztki mojej znajomości języka polskiego kołaczą się w mojej głowie!

Innym kobiecym wizerunkiem, jaki zachowuję z tamtego okresu, jest obraz nauczycielki, która powitała mnie w szkole, kiedy

wróciłem z Palestyny. Pamiętam ją dość dobrze, bo wydaje mi się, że szczególnie się mną interesowała i bardzo mnie lubiła. Powiedziała mojej matce, że jestem bardzo zdolny i że powinni mi pozwolić chodzić do szkoły tak długo, jak tylko będę chciał. A może nawet później pójść na prawdziwe studia. Wiedziała, że moi rodzice nie byli praktykującymi Żydami i że z pewnością nie pójdę do chederu[3] czy jesziwy[4] uczyć się Tory. Chciała więc by mnie mobilizowano. Było to zgodne z ich zamiarem opuszczenia Sarn lub Dąbrowicy i wyjazdu do krajów, w których były „prawdziwe" szkoły.

Moja mama mawiała, że ta nauczycielka była pod wrażeniem mojej wyobraźni, gdy zobaczyła zaprojektowane i zbudowane przeze mnie osobliwe łodzie, które w tej okolicy łąk i lasów niezmiernie ją zadziwiły. Czyż nie miałem zaledwie pięciu czy sześciu lat? Być może te pieczołowicie obmyślone statki były dalekimi przodkami moich detektorów! Prawdopodobnie wzorowałem się na łodziach, które widywałem podczas naszej wyprawy do Palestyny i którymi byłem zafascynowany jak każdy mały chłopiec. Do końca życia zachowałem również wspomnienie tych pięknych śródziemnomorskich krajobrazów, gdzie wygrzewałem się w słońcu i skąd podziwiałem morze… Cóż może być wspanialszego dla kogoś, kto przyjeżdża z głębi Polski, gdzie śnieg zalega przez sześć miesięcy w roku? Morze i łodzie bez wątpienia naznaczyły mnie na zawsze i jest bardzo prawdopodobne, że moja radość z powrotu każdego lata na korsykańską plażę, pachnącą zaroślami i zalaną palącym słońcem, jest przejawem tęsknoty za tym utraconym rajem!

[3] Elementarna szkoła żydowska o charakterze religijnym utrzymywana przez gminę religijną [przyp. tłum.].

[4] Żydowska średnia lub wyższa szkoła religijna (talmudyczna) przeznaczona tylko dla młodzieży męskiej [przyp. tłum.].

Kolejny kobiecy wizerunek – tym razem przerażający! – widzę go wyraźnie: upiorna uzdrowicielka z białą opaską na czole, która miała za zadanie wyleczyć mnie z ciężkiego kokluszu. Miałem zaledwie pięć lat, a ona zaleciła mi przeprawę przez rzekę, po której miał nastąpić rytuał w jej chacie! Jakież było moje rozczarowanie, gdy zobaczyłem starego konia zaprzężonego do wozu, który miał mnie przewieźć przez bród! Marzyłem o wyprawie łodzią (znów te łodzie…) i byłem bardzo zawiedziony. Kiedy uzdrowicielka przyłożyła mi do czoła wielkie, lodowate ostrze noża, moje przerażenie sięgnęło zenitu. Potem wypowiedziała kabalistyczną formułę (bez wątpienia po hebrajsku!) i od razu poczułem się wyleczony z mojego uporczywego kaszlu! Natychmiast uciekłem i już tam nie wróciłem. Czyżbym odkrył wpływ „psyche" na ciało? A może ekscytujące tajemnice nauki? Z pewnością wszystkiego po trochu.

Czas dzieciństwa, pełen miłości i cudownych odkryć, zakończył się tragedią, która odcisnęła na mnie głębokie piętno. Moja nauczycielka zmarła. Popełniła samobójstwo i pamiętam ten przeszywający ból, który wówczas czułem. Co się stało? Nie wiem. Dlaczego ta bardzo młoda kobieta, którą kochałem, wybrała śmierć? Wciąż się nad tym zastanawiam i zapewne – podobnie jak moi koledzy – czułem się współodpowiedzialny. Widzę ją wyraźnie, w otwartej trumnie na wozie, który zgodnie z miejscowym zwyczajem przejeżdżał przez wieś. Była pokryta kwiatami, bardzo blada i miała bose stopy. To był koniec pewnej epoki. Być może to wydarzenie wzmocniło mój zapał do nauki, jak obietnica, której należy dotrzymać…

Z tego ostatniego roku w Polsce powracają dwa wspomnienia. Wydaje mi się, że obydwa naznaczyły moje życie, otwierając dwa obszary przyjemności, które zawsze były mi bardzo bliskie. I tak jest do dziś. Z jednej strony radość, jaką daje mi śnieg, zwłaszcza puszysty, a z drugiej przyjemność, jaką znajduję w delektowaniu

się delikatnymi smakami. Czyżby to pierwsze polskie winogrono było odległym zalążkiem mojego zamiłowania do szlachetnych win? Tak mi się czasem wydaje… Był to mały, zielony, kulisty owoc, który ja i moi mali koledzy znaleźliśmy na schodach gospody w Dąbrowicy, gdzie odbywało się przyjęcie. Mała jagoda bardziej owalna niż okrągła, soczysta, zimna, przepyszna. Nigdy wcześniej nie widzieliśmy takiego owocu i podzieliliśmy go sprawiedliwie na trzy części. Cóż to był za smak! Co za zapach! Wciąż mam go w ustach… Wiele lat później, tuż przed wojną, kiedy pracowałem z Czerwonymi Sokołami – Faucons Rouges[5] – przy winobraniu w Médoc[6], ponownie przeżyłem po latach to podekscytowanie. Wyśmienita przyjemność! Każdego roku w sezonie winogronowym to uczucie powraca do mnie z zaskakującą świeżością.

Co się tyczy śniegu, nieodłącznego towarzysza moich polskich zim, zachowałem szczególnie żywe wspomnienie, które kojarzy mi się zarówno z lękiem, jak i z przyjemnością. Tłumaczy ono moją pasję do jazdy na nartach w puszystym śniegu i przyjemność, z jaką uwielbiam szusować po stoku. Podobnie jak inne biedne rodziny w wiosce, mieszkaliśmy w małej chałupie na skraju lasu i tego dnia, jak wszystkie inne dzieci, chciałem złapać się zaprzężonych sań, które pędziły w kopnym śniegu. Ojciec zawsze mi powtarzał: „Grisza, zabraniam ci chodzić do lasu, tam są wilki!". Dlatego, gdy tylko opuściłem wioskę, przerażony własną zuchwałością chciałem odskoczyć w śnieg… Niestety rękaw mojego futrzanego płaszcza zahaczył o sanki, nie pozwalając mi ich puścić. Widzę wyraźnie, jak woźnica z sardonicznym obliczem uderza mnie batem. Pamiętam swoje krzyki, niemożność

[5] Ruch młodzieżowy (od 6. roku życia) inspirowany wartościami socjalistycznymi i demokratycznymi [przyp. tłum.].

[6] Médoc to najsławniejszy na świecie obszar uprawy wina na północ od Bordeaux, rozciągający się między Żyrondą (Gironde) a Oceanem Atlantyckim. Powstają tam jedne z najwspanialszych win świata [przyp. tłum.].

puszczenia sań, skrzypienie śniegu, który zacinał z dwóch stron, a w głębi duszy paniczny lęk przed lasem… i wilkiem! Niezwykła mieszanka przyjemności, podniecenia i intensywnego strachu. Obrazowość tego wspomnienia jest taka silna, że z pewnością musiało mnie naznaczyć na całe życie… W każdym razie to wydarzenie może do pewnego stopnia tłumaczyć tę niezdolność do pozostania w miejscu, którą tak często mi się zarzuca, tę ciągłą potrzebę wstawania, chodzenia, poruszania się, siadania, ponownego wstawania. Faktem jest, że jest we mnie lęk przed bezruchem i byciem zamkniętym, w każdym znaczeniu. Lata wojny spędzone w więzieniu z pewnością nie zmieniły moich poglądów w tej kwestii!

Inne wspomnienie – tym razem wstrętne – które wciąż pamiętam, być może w jakimś sensie wyjaśnia mój antymilitaryzm. Miałem chyba z sześć lat i po raz kolejny spotkałem syna pułkownika dowodzącego garnizonem w Sarnach. Znałem tego aroganckiego chłopca i – wołając do niego po nazwisku, które przypominało polskie słowo korniszon – śmiałem się do łez. Jego ojciec uznał, że żart był przesadzony i że zasłużyłem na lanie za swoją bezczelność. Wysłał więc do mojego domu żołnierza z rozkazem, by mnie dotkliwie wychłostał. Pamiętam tę scenę bardzo wyraźnie: ukryłem się w wielkim wiklinowym kufrze, sparaliżowany strachem i drżący patrzyłem przez szpary na matkę rozmawiającą z żołnierzem, który ze złością uderzał batem w but. Byłem przerażony i wydawało się, że całe moje życie spoczywa w rękach mojej matki. W końcu przekonała żołnierza, obiecując mu, że zostanę ukarany i że nie ma potrzeby, aby mnie wychłostał. Cóż za ulga, gdy zobaczyłem, jak odchodzi! Jakie to szczęście znaleźć schronienie w ramionach matki! Jak tu nie stać się później miłośnikiem Préverta[7] i jego antymilitaryzmu?

[7] Jacques Prévert – francuski poeta i scenarzysta filmowy (1900–1977). Jego twórczość literacka oscyluje pomiędzy surrealizmem a absurdyzmem [przyp. tłum.].

Wydaje mi się, że nie mam żadnych innych wspomnień z Polski. Poza ciepłem wielkich rodzinnych spotkań, kiedy to wszyscy gromadzili się wokół stołu, na którym były ułożone wiktuały przygotowane na przyjęcie, aby śmiać się i śpiewać. Z pewnością obchodziliśmy w gronie rodzinnym żydowskie święta, bo pamiętam, ale bardzo mgliście, piękne święto – być może Purim[8] – podczas którego wszystkie dzieci były przebrane i umalowane. Mój ojciec miał dziesięcioro rodzeństwa, moja matka podobnie, miałem więc wielu kuzynów i cieszę się, że mogę ich dzisiaj spotykać we wszystkich zakątkach świata, a zwłaszcza w Izraelu. Jest to niewyraźne, ale bardzo miłe wspomnienie, które chciałbym móc opisać. Niestety umyka mi ono, podobnie jak wiele innych z tego radosnego okresu wczesnego dzieciństwa… Na te rodzinne spotkania moja babcia przygotowywała kaszę, klopsiki i ciastka z sezamem lub makiem, które tylko w jej wykonaniu były tak pyszne. Pamiętam też, że w letnie wieczory widywaliśmy chłopów wracających z pól z kosami na ramionach. Śpiewali swoimi niskimi basowymi głosami, a kobiece głosy wychodziły im naprzeciw. Śpiewali stare ukraińskie pieśni ludowe, a ich głosy brzmiały niezwykle czysto, zarówno te ochrypłe, jak i wysokie. Wspomnienie to do dziś głęboko mnie wzrusza. W upalne letnie miesiące na ukraińskiej równinie panuje skwar. Kobiety kąpały się w rzece i śmiały, siedząc w kręgu na małej plaży. Towarzyszyłem im z najmłodszymi dziećmi. Wydaje mi się, że kąpały się nago, a ich długie włosy były zaplecione w warkocze. Ale nie jestem pewien swojej pamięci… Może to moja męska wyobraźnia ubarwiła wspomnienia tych sielankowych kąpieli. Naprawdę pięknych.

To było ciepłe dzieciństwo pod osłoną drewnianego domu. Do tej pory wyraźnie widzę strome schody prowadzące do mojego łóżka, pamiętam też ogromny biały piec kaflowy, przy którym grzaliśmy się w zimowe miesiące. Samego sztetla właściwie

[8] Radosne święto żydowskie, które upamiętnia wybawienie od zagłady Żydów za czasów perskiego panowania [przyp. tłum.].

nie pamiętam. W rzeczywistości była to mała mieścina. Wokół, oprócz setek słoneczników, były gęsi, osły, błoto, drewniane chaty i dymy. Tak jak na obrazie Chagalla. Nie pamiętam synagogi, długich czarnych kaftanów ani kapeluszy noszonych przez religijnych Żydów. Ale bez wątpienia musiały być… Było to życie zwykłe, surowe, ale w którym sąsiedzka solidarność nie była pustym słowem. Dla dziecka, które miało szczęście mieszkać z rodzicami, oznaczało to po prostu szczęście.

Wszystko się rozpadło, gdy moja matka, po tygodniach rodzinnych konsultacji, oznajmiła mi, że wybieramy się w długą podróż do Francji zobaczyć Wystawę Kolonialną z 1931 roku. W jej głosie od razu wyczułem, że nie wyjeżdżamy na kilka dni. Słowo **zawsze** zaczęło nabierać nowego znaczenia. Ze swoją nieodłączną i bolesną przeciwwagą, słowem **nigdy**.

Opuszczenie wioski i naszej rodziny nie wydawało mi się trudne, ale rozstanie z Frygą było nie do zniesienia. Był to mały, biały, kędzierzawy piesek, który był moim najbliższym przyjacielem i którego kochałem całym sercem. Nie pomogło długie tłumaczenie mamy, że nie da się zabrać go na taką wyprawę, że będzie nieszczęśliwy, że na pewno wolałby zostać tam, gdzie zawsze mieszkał – blisko babci: rozstanie z Frygą łamało mi serce. Cierpiałem tak pierwszy raz w moim życiu. Symbol tych strasznych dylematów, przed którymi stawia nas życie. Jeśli miałem jechać z matką, musiałem zrezygnować z Frygi. Zostając z Frygą, straciłbym matkę, co nawet nie wchodziło w grę. Głos rozsądku przeważył. Nie miałem zresztą żadnego wyboru: jeśli chciałem lepszego życia we Francji, razem z rodziną, musiałem wyjechać, nie oglądając się za siebie. Niestety, nie byłem na tyle dorosły, by móc narzucić swoją wolę: odejść z psem, na dobre i na złe. Zadając sobie gwałt, poszedłem za swoimi. Opuszczając Frygę, żegnałem się z całym światem, jaki symbolizował mój pies. Nigdy więcej nie chciałem już o tym myśleć.

Rana była zbyt poważna, lepiej było o niej zapomnieć. A wraz z nią o Polsce, o moim domu, o szkole, o śniegu, o jidysz, o rosyjskim, o całym świecie. Tym z mojego dzieciństwa, z czasów, kiedy miałem na imię Grisza.

Fragment wstępu Dominique Saudinos:

Skromny, powściągliwy, skryty do granic możliwości, Georges nie chciałby być przepytywany i zmuszany do odsłaniania swojej osobowości. Już go widziałam, jak zręcznie wykręca się od odpowiedzi, przypominając jedną z tysiąca żydowskich anegdot, które uwielbia przywoływać bez końca, jakby chciał uniknąć pytań. /.../

W październiku 1992 r. zaproponowałam mu [Charpakowi], aby odpowiedział „dwoma głosami" na pytania Francuzów. Głos wewnętrzny, głos „prywatnego ja", ten, który mówi cicho i który musi być odczytywany między wierszami, bez względu na pozorną beztroskę, opowiedziałby o długiej i pełnej udręki drodze dzieciństwa, dorastania i młodości. Inny głos, głos „ja publicznego", opowiedziałby o karierze naukowej, podróżach i spotkaniach wieku dojrzałego. /.../

Zawahał się przed takim obnażeniem się, a potem, po chwili namysłu, zgodził się. Niewątpliwie, pomimo niechęci do dzielenia się swoim życiem i doświadczeniami, czuł się w obowiązku opowiedzieć młodym ludziom o swojej drodze i początkach swego powołania naukowego. Był to również obowiązek wobec jego bliskich i wszystkich tych, którzy chcieli poznać tego Francuza, któremu sztokholmskie jury właśnie przyznało Nagrodę Nobla w dziedzinie fizyki. Zgodził się pod warunkiem, że uda się znaleźć przyjemny, a nawet żartobliwy ton, który, jak sądził, pozwoli przekazać najpoważniejsze sprawy. Do tego dążyliśmy.

Ta książka na dwa głosy jest więc owocem tej współpracy. Nie jest to ani szczegółowa biografia, ani kompletny pamiętnik. Jedynym jej celem jest próba odkrycia drogi życia i osobowości oraz odszukanie rozmaitych „nici":

- **Napięta nić** między *shtetlem* na Ukrainie a Francją.
- **Napięta nić** między skromnym światem polskich żydowskich emigrantów a światem najbardziej wyrafinowanej nauki.
- **Napięta nić** całego życia, z zawsze jasnym celem.
- **Napięta nić** – czasem aż do zerwania – między tysiącem pomysłów, tysiącem działań i tysiącem potrzeb.
- **Napięte nici** w wielodrutowej komorze proporcjonalnej.

Wydawnictwo edu-Libri jest oficyną wydawniczą publikacji naukowych i edukacyjnych.

Współpracujemy z profesjonalnymi redaktorami merytorycznymi i technicznymi z dużym doświadczeniem w przygotowywaniu publikacji specjalistycznych. Stawiamy na jakość łączoną z nowoczesnością, a najważniejsze dla nas są przyjemność współtworzenia i satysfakcja z dobrze wykonanego zadania.

Nasze publikacje (drukowane i elektroniczne) są dostępne w księgarniach stacjonarnych i internetowych oraz w czytelniach on-line ibuk.pl, osbi.pl i nasbi.pl – szczegóły na stronie wydawnictwa.

www.edu-libri.pl

ISBN 978-83-66395-65-7